

ŻYLIŚMY NADZIEJĄ

Z BYŁYM PREZYDENTEM RZECZYPOSPOLITEJ RYSZARDEM KACZOROWSKIM ROZMAWIA TOMASZ DANILECKI

Tomasz Danilecki – Panie Prezydencie, w 1940 r. w Białymstoku, mając niespełna 21 lat, został Pan aresztowany przez NKWD. Po wielomiesięcznym śledztwie, 1 lutego 1941 r. sowiecki sąd w Mińsku skazał Pana na karę śmierci za „wstąpienie do polskiej, kontrrewolucyjnej, powstańczej organizacji »Szare Szeregi«, która postawiła sobie za cel obalenie w drodze zbrojnej sowieckiej władzy na zachodnich terenach Białorusi”. Przez 100 dni siedział Pan w celi śmierci. Potem zamieniono Panu wyrok na dziesięć lat zesłania. Z celi śmierci jechał Pan pociągiem do, *nomen omen*, Doliny Śmierci – kopalni złota na Kołymie...

Ryszard Kaczorowski – Nie wiedzieliśmy wówczas, dokąd nas wiozą, przez jakie miejscowości. Udzielano nam jak najmniej informacji. Wiedzieliśmy tylko, że wiozą nas na Wschód. Okruchy wiadomości zbieraliśmy od spotykanych po drodze starych sowieckich łągierników. Jadąc tam, myśleliśmy, że to nie może się tak zakończyć, że kiedyś jeszcze będziemy wracali tą drogą. Nie wszystkim się to udało. Ja wróciłem, ale nie ze Wschodu, tylko okrężną drogą, z Zachodu, 50 lat później.

Zdołał Pan przeżyć czas zesłania i dzięki układowi Sikorski–Majski trafił Pan do armii gen. Władysława Andersa...

– Nie było to tak, że zwolniono nas i natychmiast trafiliśmy do wojska. Z łagru musieliśmy najpierw dotrzeć do jakichś środkowoeuropejskich ośrodków. Trzeba więc było dostać się na statek płynący do Władywostoku, gdzie zaczynała się linia kolejowa. Tam dostawaliśmy bilety na podróż do wybranych miejsc. Ale nie wiedzieliśmy, dokąd mamy jechać. Poza tym niektóre miasta były dla nas zamknięte, na przykład Moskwa. Wybraliśmy więc Omsk. Wydawało nam się, że jest to dostatecznie daleko na zachód. I okazało się, że rzeczywiście stamtąd można było dotrzeć na południe. Z Kołymy wyjechałem 12 października 1941 r., a mundur wojskowy mogłem włożyć dopiero w końcu marca 1942 r. Nie zdążyłem odbyć dwutygodniowej kwarantanny, gdy – wraz z pierwszą grupą żołnierzy – wyjechałem do Persji. Dopiero kiedy wylądowaliśmy na plaży w Pahlewi, poczuliśmy ulgę, że koszmar został na drugim brzegu. Z Persji pojechaliśmy bezpośrednio do Palestyny, gdzie tworzyła się Dywizja Strzelców Karpackich. Byłem w 2. Brygadzie, która po krótkim pobycie w Palestynie została wysłana na ćwiczenia wysokogórskie do Syrii, ponieważ cały nasz korpus przygotowywano do inwazji na Grecję.

Trafił Pan jednak do Włoch, między innymi pod Monte Cassino. Z dowodzonego przez Pana ośrodka łączności nadana została pierwsza informacja o zdobyciu wzgórza.



Były Prezydent RP Ryszard Kaczorowski





– Pierwszy meldunek nadał z klasztornych gruzów dowódca 5. batalionu łączności por. Dobrowolski. Mój wąż łączyłności był pierwszym, który rozpowszechnił tę wiadomość o zwycięstwie.

Po wojnie, w 1946 r. znalazł się Pan w Anglii.

– Wcześniej, jeszcze we Włoszech, rozpocząłem kurs maturalny w liceum 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Przed jego ukończeniem skierowano nas do Anglii, do hrabstwa Norfolk, do dawnej bazy lotnictwa amerykańskiego. W 1947 r. zdałem maturę i następnie rozpocząłem studia w Szkole Handlu Zagranicznego.

Wielu Pańskich współtowarzyszy podejmowało wówczas decyzje o powrocie do kraju...

– To były bardzo trudne decyzje, szczególnie dla tych, którzy pozostawili w kraju żony, dzieci. Moi rodzice byli już w podeszłym wieku, a ja nie wiedziałem nawet, czy zdołali wrócić do Polski z Syberii. Moja decyzja o pozostaniu była więc dla mnie oczywista. Tak postąpiła zresztą większość żołnierzy II Korpusu.

Byliście w kraju, którego nie znaliście...

– Nie znaliśmy ani języka, ani obyczajów, nie wiedzieliśmy w ogóle, co nas czeka. Niepewność była ogromna. Zaproponowano nam wstąpienie do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, w ten sposób weszliśmy w skład armii brytyjskiej. Wcześniej Prezydent RP przeniósł nas wszystkich na bezterminowy urlop. W Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia były organizowane różne kursy, języka, zawodu. Korzystaliśmy z tego.

Czy łatwo było przystosować się do życia w obcym kraju?

– Myślę, że bardzo trudno. Szczególnie dla nas, ludzi z „innego świata”. W Anglii panowały zupełnie inne zwyczaje, inny sposób życia, oczywiście standard życia również był wyższy. Dookoła wszyscy byli dosyć zamożni, a my byliśmy biedakami, którzy dopiero rozpoczynali normalne życie. Poza tym ogarniała nas nostalgia, niepewność o pozostawionych w kraju członków rodzin. To wszystko nie stwarzało najlepszej atmosfery, ale jakoś sobie radziliśmy. Każdy musiał odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego zostaje, co chce robić. Ponieważ byłem instruktorem harcerskim, zacząłem zajmować się młodzieżą, która się znalazła na ziemi brytyjskiej, docierając tam z obozów dla rodzin, mieszczących się w Afryce, w Indiach. Rozpoczęliśmy organizowanie drużyn harcerskich, które działają do dziś. Udało mi się dostać pracę, zapewnić materialne podstawy życia, potem założyć rodzinę, znaleźć dach nad głową. Dużym wysiłkiem, odmawianiem sobie wielu rzeczy, doprowadziliśmy do tego, że mieliśmy własne domy. Potem przyszły dzieci, którymi trzeba się było zająć. Przyzwyczajaliśmy się do nowego życia, pamiętając, że mamy pewne obowiązki wobec kraju. Ideologicznie mówiąc, komentowaliśmy dla obcych to, co działo się w Polsce.

Jakie były te wieści, docierające z kraju?

– Nie byliśmy od Polski tak zupełnie odcięci. Zresztą większość z nas, po przejściu przez Sowiety, znała już system, który próbowano Polsce narzucić. Poznaliśmy przecież pierwszą sowiecką okupację na ziemiach wschodnich po 17 września 1939 r. To była lekcja, której nie zapomnieliśmy.

Czy ta powojenna emigracja polska „trzymała się razem”?

– Przyjaźnie, które zawieraliśmy na polu walki, trwały przez wiele, wiele lat. Byliśmy więc zwartą grupą. Zaczęliśmy tworzyć własne organizacje. Pierwszy był Instytut i Muzeum gen. Władysława Sikorskiego, gdzie zostały złożone wszystkie sztandary i dokumentacja Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Potem powstawały inne. Ogromną rolę odegrały polskie kościoły, przy których gromadzili się Polacy. Dzięki temu zachowali polskość i wiarę. Gdyby tych kościołów tam nie było, gdybyśmy się nie gromadzili w polskich parafiach, musielibyśmy przejść do parafii angielskich. Byłoby to zatracenie naszego wyraźnego, narodowego, polskiego rysu.

Czy znając siłę sowieckiego systemu, wierzyliście przez tyle lat w możliwość jego upadku?

– Główną myślą pozostania na emigracji było to, że imperia nie trwają wiecznie. Że również „imperium zła” się kiedyś rozpadnie. Nie bez podstaw liczyliśmy na konflikt Zachodu ze Wschodem. Stalin przecież przygotowywał się do takiej ewentualności. Zachód nie był przygotowany, by taką wojnę zacząć, natomiast gdyby został zaatakowany – oczywiście broniłby się.

To była bardzo silna nadzieja...

– Ponieważ jeszcze przez kilka lat po wojnie byliśmy stosunkowo sprawnym wojskiem, to można było liczyć, że na wypadek wojny będziemy mogli odtworzyć Polskie Siły Zbrojne. Lata mijały, rosło nowe pokolenie, ale sytuacja w świecie była ciągle dosyć napięta. To dawało nam nadzieję, że w końcu w Polsce coś się zmieni. Wszystkie oznaki rozluźnienia systemu w kraju przyjmowaliśmy z radością. Wiedzieliśmy, że każdy krok w kierunku poszerzenia w Polsce marginesu wolności pozwoli narodowi na dalsze przetrwanie biedy, nieszczęścia.

Ale co parę lat słyszeliście też, że w Polsce do własnych obywateli się strzela na ulicach.

– Takie zachowania tego systemu nie były dla nas nowością. Nagłaśnialiśmy to gdzie tylko można było, żeby ludzie na Zachodzie zdawali sobie sprawę, co im grozi, gdyby ten system zapanował u nich. Organizowaliśmy protesty przeciwko takiemu traktowaniu Polaków, informowaliśmy o tym rządy państw innych krajów.

Czy pręt „Solidarności” został odebrany jako zapowiedź złamania systemu komunistycznego w Polsce?



– Takich momentów było więcej. Pierwszym był Październik 1956 r. Wielu uznało to za duży krok ku wolności. Ale – jak wiadomo – Gomułka szybko tę nadzieję zgasił. Inny moment to strajk w Stoczni Gdańskiej, a potem – stan wojenny. Trzeba tu powiedzieć o ogromnym poparciu Polaków z całego świata dla „Solidarności”, o którym się dzisiaj nie mówi. Na dwudziestolecie „Solidarności” nie zaproszono tych, którzy organizowali wówczas pomoc dla kraju i związku. Ten entuzjazm i pomoc Polaków spoza kraju jest nie do przecenienia. Kiedy w stanie wojennym zduszono „Solidarność” i wysłano do więzień działaczy, wtedy wszystkimi możliwymi drogami szła do kraju pomoc emigracji. To były ogromne liczby transportów: środków medycznych, żywności.

W 1986 r. – będąc już na emeryturze – wszedł Pan w skład rządu londyńskiego, najpierw jako minister, a potem w 1989 r., po śmierci Prezydenta Kazimierza Sabbata, jako jego następcą. Co Pan wtedy czuł? Był Pan prezydentem zniewolonego państwa. To przecież była funkcja – w zasadzie – symboliczna.

– Symbolika odegrała w dziejach naszego narodu ogromną rolę. Nie po raz pierwszy ta symbolika była wykorzystana w walce o niepodległość. Marszałek Piłsudski w swojej pracy o powstaniu styczniowym podkreślał, i sam potem używał tego argumentu, że niezależnie od tego, kto państwem włada, źródłem siły jest rząd narodowy, który włada duszami. Z takiej pozycji wychodziliśmy, uważając, że zachowanie legalizmu, cele wojenne, do których Polska została zmuszona przystąpić, nie zostały osiągnięte. Nasza postawa trwania to była bezwzględna walka o przyszłość Polski.

W 1991 r. w Białymstoku Ojciec Święty Jan Paweł II składał w Pańskie ręce podziękowania rządowi londyńskiemu za „przechowanie suwerenności Rzeczypospolitej”...

– To była dla nas największa nagroda. Powiedział to najwyższy autorytet moralny w świecie.

Przez tyle lat życia na emigracji można było chyba jednak stracić nadzieję na odzyskanie tej suwerenności?

– To chyba wyjątkowy w historii wypadek – przez tyle lat przetrwaliśmy w trudnych sytuacjach jako zespół ludzi oddanych sprawie. Były oczywiście między nami różnice, które jednak nie dotyczyły głównego celu, jakim była wolność i niepodległość Polski.

Przekazanie insygniów II Rzeczypospolitej w ręce nowo wybranego prezydenta Lecha Wałęsy w 1989 r. stało się symbolicznym dopełnieniem procesu odzyskiwania suwerenności kraju...

– To było zakończenie naszych działań. W ręce Narodu, w osobie przedstawiciela tego Narodu, wybranego w wolnych wyborach prezydenta Lecha Wałęsy, mogliśmy złożyć insygnia wolnej i suwerennej Rzeczypospolitej, dla dalszego rozszerzania tej suwerenności.

Musiał Pan mieć prawdziwą satysfakcję z tego, że to właśnie Panu przyszło pełnić urząd Prezydenta RP w takiej chwili?

– To nie była tylko moja osobista satysfakcja, ale nas wszystkich. Tak się złożyło, że Opatrzność wyznaczyła mnie wówczas na to miejsce, ale przecież z równym powodzeniem mógłby to być mój poprzednik, który niestety zmarł przedwcześnie, pełniąc urząd.

W krakowskim oddziale IPN złożył Pan wniosek o dostęp do dokumentów gromadzonych na Pański temat przez służby specjalne PRL. Czego chciałby się Pan dowiedzieć?

– Złożyłem go z nadzieją, że niczego tam nie będzie.

Jak odbiera Pan powstanie Instytutu Pamięci Narodowej i jego rolę w wolnej Polsce?

– Myślę, że jest to instytucja bardzo potrzebna i jednocześnie spóźniona o co najmniej dziesięć lat. Powinna powstać wcześniej. Wówczas więcej można byłoby zrobić. Składając wniosek o udostępnienie tych dokumentów, kierowałem się nie tylko osobistymi względami, ale i całego obozu niepodległościowego, chcąc dowiedzieć się, w jakim stopniu ten obóz był infiltrowany, w jaki sposób. Wiedzieliśmy, że takie fakty musiały mieć miejsce, bo znaleźliśmy naszego przeciwnika. Wiedzieliśmy, że są podejmowane działania dla przeszkodzenia w naszej pracy, więc niemal wszystko, co robiliśmy, było jawne. Chodziło o to, by nie stwarzać okazji i powodów, by kogoś można było zaszantażować. A to, co chcieliśmy zachować w tajemnicy, nie wyszło na jaw. Jestem o tym przekonany.

Propaganda w kraju robiła wszystko, by zdyskredytować w społeczeństwie członków rządu londyńskiego. Ale podejmowała zapewne również działania destruktcyjne. Czy były one zauważalne?

– Najprostszą metodą dyskredytacji było wyśmiewanie nas. Ale nie tylko. Przecież w początkach naszej działalności emigracyjnej premier rządu Hugon Hanke okazał się agentem służb specjalnych. Nie wiemy, czy został agentem po przyjeździe do Polski, czy był nim na emigracji. Nie mieliśmy możliwości, by to sprawdzić. Potem byli jeszcze inni, którzy się przyznawali. Jeśli idzie o mój życiorys, kilka lat temu otrzymałem kopię protokołu sporządzonego w Mińsku bądź w Białymstoku przez człowieka, który w 1940 r. ujawnił NKWD moje nazwisko. W ten sposób dowiedziałem się – to była ogromna satysfakcja – że nie zrobił tego nikt z moich przyjaciół. Tą osobą był kurier, który towarzyszył Lechostawowi Domańskiemu, wysłannikowi Kwatery Głównej Szarych Szeregów do Wilna. Został wówczas złapany na granicy niemiecko-sowieckiej. Myśmymy zresztą po aresztowaniu nie zaprzeczali, że byliśmy członkami harcerstwa, przedstawialiśmy się jako ludzie w dalszym ciągu wierni Polsce. Organizatorem tajnego harcerstwa w Białymstoku był Marian Dakowicz. Ten człowiek – po naszym aresztowaniu – wziął na siebie główny ciężar i przypuszczam, że jako najstarszego, rozstrzelano go. Nigdzie potem nie znalazłem nikogo, kto by gdzieś go spotkał.

Czy przez 50 lat, od momentu, kiedy wojna wyrwała Pana z domu rodzinnego, nigdy nie wątpił Pan w słuszność podejmowanych decyzji? Cela śmierci, zesłanie, emigracja, każde z tych przeżyć mogłoby zmusić wielu do rezygnacji...

– Cela śmierci jest doświadczeniem, które utwierdza człowieka w przekonaniu, że jest na właściwej drodze. Kiedy prowadzono mnie w Mińsku do sądu i zobaczyłem, że wejście obsadził pluton NKWD, dopiero zdałem sobie sprawę z wagi, którą oni przywiązywali do nas. A my – prawie nadzy, zbiedzeni po różnych torturach... Myślę, że nigdy nie straciłem wiary, iż to, co robię, jest słuszne i potrzebne.



Ryszard Kaczorowski urodził się 26 listopada 1919 r. w Białymstoku, gdzie ukończył szkołę handlową. W Londynie ukończył w 1949 r. Szkołę Handlu Zagranicznego. Pod okupacją sowiecką działał w Szarych Szeregach (konspiracyjne ZHP). W czerwcu 1940 r. objął funkcję komendanta białostockiej Chorągwi Szarych Szeregów. Aresztowany przez NKWD 17 lipca 1940 r., więziony był w Białymstoku i Mińsku. 1 lutego 1941 r. został skazany na karę śmierci przez Najwyższy Sąd Białoruskiej Repu-

bliki Sowieckiej. Po stu dniach w celi śmierci wyrok zamieniono na dziesięć lat łagrów. Został zesłany na Kołymę.

Zwolniony z łagrów, w marcu 1942 r. wstąpił do Armii Polskiej w ZSRR i jako żołnierz 2. Korpusu, w batalionie łączności 3. Dywizji Strzelców Karpackich odbył kampanię włoską, walcząc między innymi pod Monte Cassino.

W 1967 r. Naczelna Rada Harcerska wybrała go na Przewodniczącą ZHP na Obczyźnie.

W marcu 1986 r. został powołany do Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej jako nominat Prezydenta RP oraz do Rządu RP na Uchodźstwie. W gabinecie premiera prof. Edwarda Szczepanika był ministrem spraw krajowych. Na tym stanowisku rozwinął wszechstronne kontakty z działaczami opozycji w kraju. 19 lipca 1989 r. objął urząd Prezydenta RP. 22 grudnia 1990 r. przekazał insygnia władzy prezydenckiej Lechowi Wałęsie, pierwszemu prezydentowi wybranemu w wolnych wyborach.

Prezydent Ryszard Kaczorowski jest honorowym obywatelem Białegostoku i wielu miast polskich. Jest także doktorem honoris causa czterech polskich uczelni, między innymi Uniwersytetu Wrocławskiego, Akademii Medycznej w Białymstoku.

Ryszard Kaczorowski, z tytułu pełnionej funkcji Wielkiego Mistrza Orderu Orła Białego i Orderu Odrodzenia Polski (Wielka Wstęga Orderu Odrodzenia Polski), jest Kawalerem tych Orderów.

Mieszka w Londynie z żoną Karoliną, z którą ma dwie zamężne córki.